



Miłość i telewizja

Mariusz Walter

Kompozycja
Zofia Turowska

MARGINESY

Mariusz, lata sześćdziesiąte.
Ulubione zdjęcie Bożeny Walter,
zrobione przez nią na wakacjach





Maria Walter, matka Mariusza, Lwów, 1937 rok

Prawie wszystko, co w sobie mam dobrego, zawdzięczam kobietom, w pierwszej kolejności Matce.

Gdy pewnego dnia Karol Walter dowiaduje się, że Maria Kozłowska zaręczyła się z młodym dyplomata z słynnego rodu Łukaszewiczów, doznaje paraliżu lewej strony ciała. Długie tygodnie leży w mrocznym pokoju, który wynajmuje we lwowskiej kamienicy. Maria na wieść o tym zrywa zaręczyny z dyplomata i wychodzi za Karola.

Dzięki temu ujrzałem świat.

Dopiero w pełnej dorosłości uzmysławiam sobie, jak doskonale znam swojego ojca, choć nie pamiętam jego twarzy. Opowiadała o nim matka, wciąż i wciąż na nowo. Chciała, żeby był pośród nas, mimo że go nie było. Nie do końca świadomie, z emocji, swojej mądrości, mówiła o nim, by przekazać mi jego cechy i ukształtować moją skalę wartości.

Z opisów matki wiem, że był wysoki, postawny i przystojny. Także ze zdjęć, jakimi obstawiony był cały dom. Rodzice kochali się niebywale. Matka z miłości do ojca chodziła na mecze Pogoni Lwów, co wtedy było dla kobiety czynem niezwykłym.

Przeczytałem wiele listów, które do siebie ślali w czasach rozłąki, gdy ojciec był w wojsku albo kiedy odbywał praktyki w sądach poza Lwowem. Pisali po jednym dziennie. To z tych intymnych listów nauczyłem się czegoś, czego nie nauczą szkoła ani jakakolwiek lektura, a co władna jest uczynić jedynie wymiana wyznań: jak być z kimś innym do końca, snuć wspólne plany i się kochać. Nie znosili nawet najkrótszej rozłąki. Oprócz wyznawania sobie miłości oraz potrzeby bycia razem i opisywania radości, które przeżyli i które mogą przeżyć, kiedy się spotkają, pisali o nas. O dzieciach. Przede mną urodziła się moja siostra Michalina, przez wszystkich nazywana Aliną, jeszcze wcześniej pojawił się brat Zygmunt. Oni noszą żywy portret ojca w swoim sercu, mają swoją wiedzę o nim.



Rodzice Mariusza, Maria i Karol Walterowie. Karol nie dożył czasów, w których dzieci jego i Marii nazwały swoją matkę „Zajączkiem” (z powodu jej niskiego wzrostu)

W listach matki czytam dziesiątki dopisków na marginesach, pisem rozszalałym, pisanym ręką tęskniącej kobiety. Tyle samo podkreśleń. U ojca przeciwnie. Chłodny porządek wszystkich kształtów: liter, znaków, wersów. Za to znaczenie słów – namiętne i miłosne. Widzę w tym sprzeczność. Do takich słów pasowałoby pismo gorączkowe, pospieszne, bez przecinków, długie zdania, w których nie używa się znaków przestankowych.

Ojciec był sędzią najpierw Sądu Grodzkiego, potem Okręgowego we Lwowie. W jego aktach i notatkach z procesów sądowych, które matka wozila ze sobą przez całą gehennę wojenną i późniejsze lata, ciągle wracało jedno zdanie, które pisał sam do siebie: „Czy ja to wiem

na pewno?”. Albo: „Karolu, zastanów się, czy jesteś tego pewien”. Był szlachetny, prostolinijny, pełen wątpliwości – decydował o czymś losie i ważył ten los ostrożnie.

Jesteśmy zamożną lwowską rodziną. Mieszkanie przy eleganckiej ulicy-alei Akademickiej 22 – moje pierwsze miejsce na ziemi – znam głównie z opowiadań rodzeństwa. Od wejścia: służbówka, toaleta, korytarzyk, łazienka, sypialnia rodziców, potem sypialnia dzieci. Za sypialnią gabinet ojca. Po drugiej stronie korytarza, wzdłuż całej długości budynku, pracownia krawiecka. Na końcu ciemny pokój, w którym stoi olbrzymia maszyna do plisowania. W powietrzu zapach tkanin, nici, chemikaliów, krochmalu.

Rodzina Walterów ponad dwieście lat temu przybyła do Polski z niemieckiej Nadrenii, a konkretnie z okolic Wachenheim w dzisiejszej Nadrenii-Palatynacie, krainie leżącej w południowo-zachodnich Niemczech. Protoplastą tej rodziny, której droga w Polsce wiodła od miasta królewskiego Kołomyi, poprzez Lwów, Kraków, Warszawę, do Konstancina, jest Jan Mikołaj Walter.

Gdy wybuchła II wojna światowa, mam dwa i pół roku. Już umiem biegać, bo naśladując samoloty latające na niebie, łamię obojczyk. Rosyjskie władze, zaraz po zajęciu Lwowa we wrześniu 1939 roku, o czym dowiaduję się z przekazów rodzinnych, dokwaterowują do naszego mieszkania enkawudzistę. Moja rodzina traktuje go przede wszystkim jako człowieka. Matka robi mu herbatę. Gdy gospoia sprząta mieszkanie, porządkuje również jego pokój. Co dziwne, on nigdy go nie zamyka.

Jest wieczór 9 kwietnia roku 1941, gdy ów człowiek uchyla drzwi do salonu i ostrzega:

– *C tuda udieraj, zawtra po tiebia prijdut* (Uciekaj stąd, jutro po ciebie przyjdą).

Ojciec nie chce uciekać.

– Nikomu krzywdy nie zrobiłem – mówi.

NKWD przychodzi nocą. Łomot w drzwi, kilkunastu mundurowych rozbiega się po mieszkaniu.



Maria z córką Michaliną, przez wszystkich nazywaną Aliną, i synem Zygmuntem

– *Dawaj zoloto!* – krzyczą.

Matka płacze. Zygmunt leży jak sparaliżowany w nogach łóżka rodziców ze wzrokiem wbitym ze strachu w jeden punkt – żyrandol pod sufitem. Alina siedzi na nocniku, trzęsąc się z przerażenia. Patrzy na Rosjan, którzy bagnetami wybebeszają szafy.

Enkawudziści spisują protokół i wyprowadzają ojca z mieszkania. Mam tę napisaną po rosyjsku kartkę do dziś. Wyszczególniono na niej, punkt po punkcie, z czym ojca od nas biorą: jedna koszula, jedna marynarka, jedno spodnie, jedna para brązowych butów, obrączka, medalik z krzyżykiem. Ojca zabiera NKWD, gdy mam cztery lata. Ślad po nim ginie.

★

Ucieczki ze Lwowa nie przetrwalibyśmy, gdyby nie bracia mojej matki: adwokat Antoni Kozłowski i Janusz Warnecki (właściwie Jan Maria Kozłowski), aktor i reżyser w teatrach lwowskich, a po wojnie reżyser



Babcia Mariusza, Michalina Kozłowska ze Świątkowskich

w teatrach w Krakowie i Warszawie. Jeszcze tej nocy, której NKWD zabiera ojca, ewakuują nas z domu. Tak jak stoimy: w nocnej koszuli, w szlafroku, jak opowiadała moja matka, być może nieco koloryzując. Instynktownie sięga po biżuterię, którą potem płaci za życie Zygmunta i nasze utrzymanie. Cała reszta dorobku kilku pokoleń zostaje w otwartym mieszkaniu. Nie było co czekać na powrót enkawudzystów.

Kamienica przy ulicy Lipowej 4, na warszawskim Powiślu, gdzie nasz wuj Janusz Warnecki znajduje nam mieszkanie, stoi naprzeciwko elektrowni, nieopodal pasma zieleni, które dociera tu znad Wisły. Do szkoły przy ulicy Drewnianej idę stamtąd pięć minut. Mam w pamięci



Mariusz z Aliną

ten dom z kilku powodów, z których żaden nie jest miły dla dziecka wrzuconego w okupowaną przez Niemców Warszawę. Widzę balkon, na którym często stoi nasza rodzinna matrona – babcia Michalina Kozłowska, z domu Świątkowska (dziadka i babki ze strony ojca, Adama Waltera oraz Antoniny Strukowskiej Walterowej, nigdy nie spotkałem). Żegna nas stamtąd, gdy wychodzimy do szkoły, i czeka, gdy wracamy, bo zna godzinę naszego powrotu. Pewno jest to sygnał dla gosposi Józi, że trzeba odgrzewać obiad.

Nasza matka zna niemiecki. Zdobywa posadę kuchennej w barze przylegającym do getta. Nalewa sznapsa niemieckim żołnierzom, podrzuca cebulę głodującym Żydom, odkłada w papierek skórki od szynki dla naszych sąsiadek.

Po godzinach musi ujarzmić swoje dzieci, zwłaszcza mnie. Pamiętam takie zdarzenie na Madalińskiego, gdzieśmy przez pewien czas mieszkali u Janusza Warneckiego. Wujek pracował jako kelner.

Ciocia Nina w tym czasie próbowała okiełznać Mareczka Katastrofę, czyli mnie. Nazwała mnie tak, odkąd poobgryzałem wszystkie nogi zabytkowego stołu i większości krzeseł wokół.

Gdy dorośli muszą coś ważnego omówić, co wymaga chwili spokoju i koncentracji, na wszelki wypadek zamykają mnie w łazience. Drogo ich to czasem kosztuje. Któregoś dnia zastaję w wannie kilka butelek moczących się w wodzie. Część z nich pływa po powierzchni, część stoi. Zawierają jakiś przezroczysty płyn. Niewiele myśląc, wylewam wodę z tych butelek i bawię się w okręty. Obaj wujkowie złali mnie za to straszliwie. W butelkach był najszlachetniej pędzony bimber, szykowany na jakąś wielką uroczystość rodzinną. Od tego czasu każdy mój ruch jest śledzony. Gdy wróciliśmy na Lipową, ciotka podobno udała się na mszę podziękować Bogu, że tego czorta już u niej nie będzie.

★

Pewnego dnia matka nie idzie do pracy – wybucha powstanie warszawskie. Wokół huk spadających pocisków, zaczynamy życie w piwnicy z innymi mieszkańcami kamienicy. Zapach jak w żołnierskiej latrynie. Ludzie płaczą, śmieją się histerycznie, modlą. Nie wolno ruszyć się na krok, ale niektórzy nie wytrzymują. Spośród tych, co wychodzą po haust świeżego powietrza, nie wszyscy wracają, a ci, co wracają, wychodzą jednak znowu. Przydają się króliki, które hodowaliśmy na podwórku. Przed powstaniem rwaliśmy dla nich mlecz nad Wisłą. Czasem w niedzielę trafiały na stół, ale niezbyt często. Gdy tylko pojawił się cień wątpliwości co do pochodzenia mięsa na talerzu, biegłem z Aliną liczyć króliki w klatkach na podwórku. Jeśli rachunek się nie zgadzał, obiadu nie jedliśmy. Teraz króliki pomagają wyżywić powstańców leżących w szpitalu przy ulicy Czerwonego Krzyża. Znosi je tam Zygmunt.

Najbardziej martwi nas babcia Michalina. Upiera się, że nie zejdzie do piwnicy. Nie dlatego, że nie byłaby w stanie znieść piwnicznej



Babcia Michalina z Aliną na balkonie
podczas powstania warszawskiego

grozy, potępieńczych szlochów, masy ludzkiego nieszczęścia. Mogła znieść gorsze rzeczy, co potem udowodniła. Podkreśla, że to jej miasto, mieszkanie i jej balkon i nie zamierza się wyprowadzać tylko dlatego, że trwa ostrzał artyleryjski i bombowy. Ostrzał trwa, bo celami są pobliska elektrownia i mosty, a babcia stoi na balkonie. Sąsiedzi, którzy wbiegali na chwilę do swoich mieszkań, żeby zabrać stamtąd do piwnicy potrzebne im rzeczy, meldują przerażonej matce:

– Pani Michalina wciąż stoi na balkonie! A nawet spaceruje po nim i wygląda na zadowoloną.

Dla babki to manifestacja wolności. Wnioskuje to po jej ubiorze: stała tam w czarnej pelerynce z cekinami, tej samej, którą zakładała na niedzielne obiady.

Ktoregoś dnia dowódca miejscowego powstańczego odcinka informuje, że bombardowania się nasilają, a piwnica daje tylko złudzenie bezpieczeństwa. Nadchodzi czas, by opuścić Lipową.

Wykonano przekop na drugą stronę ulicy – płytki rów, którym mamy przedostać się w miejsce bezpieczniejsze, do klasztoru szarytek, budowli o solidnych murach i głębokich, odpornych na wstrząsy piwnicach. Babcia wciąż nie chce słyszeć o ucieczce. Oznajmia, że nikt, pod żadnym pretekstem, nie zmusi jej do opuszczenia ulicy Lipowej.

Dantejskie sceny, do jakich po tym oświadczeniu dochodzi pomiędzy matką a nestorką rodu, są dla mnie nowością. Niczego jednak nie zmieniają. Piwnica pustoszeje, a my trwamy w negocjacjach z babcią Michaliną. Nawet szantaż, że bez niej się nie ruszymy, ma za nic. W końcu zostajemy na Lipowej sami: my w piwnicy, babcia na balkonie.

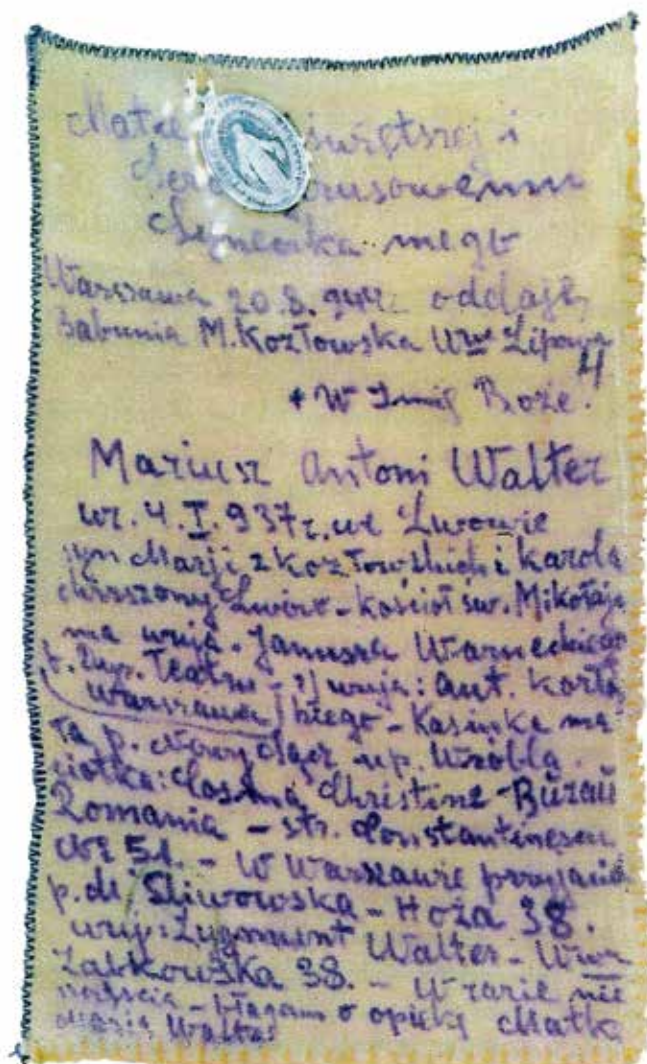
Żołnierz z AK już nie prosi, żebyśmy się stamtąd wynieśli. Wydaje nam rozkaz.

Nie słyszę decydującej rozmowy babki z matką. Marysienka, bo tak w rodzinie ją nazywaliśmy, jest po niej blada jak ściana. Skurczona i jakby zmalęła. Zagarnia nas do siebie i bez słowa przechodzimy wykopem, pod sterczącymi w ulicy szynami tramwajowymi, przez ulicę Dobrą aż do klasztoru.

Babcia zostaje.

Zajmują się nami siostry szarytki. W tym siostra Genowefa, która w przyklasztornym ogródku uprawia kwiaty i warzywa, dzięki temu głód nie jest tak dotkliwy. Matka wysyła jej Zygmunta do pomocy. Ten pieł i podlewa grządki. Do dnia, kiedy zakonnicę zastrzelił z mostu Poniatowskiego niemiecki snajper. Zygmunt doznaje wstrząsu. Nie odpuszcza Niemcowi. Po latach tak opowiedział w „Almanachu Muzealnym”: „Chłopcy z AK, którzy stacjonowali na terenie szkoły przyklasztornej, nie znali okolicy. A ja wiedziałem, że korytarzem przez kaplicę, potem przez klauzurę można dojść na dach najdalej posuniętego budynku na skarpie. Zaprowadziłem ich tam i oni stamtąd tego snajpera zdjęli. Strzelali tak długo, póki ręce Niemca nie zwisły bezwładnie za barierkę. Wtedy wiedziałem na pewno: siostra Genowefa została pomszczona”.

Jest 6 września 1944 roku. Nie możemy znaleźć matki. Przeszukujemy z Aliną wszystkie klasztorne piwnice, bez śladu. Dostrzegamy ją przy wejściu do podziemi. Rozmawia z jakimś żołnierzem w hełmie



Maria zawiesiła na szyi każdego dziecka list błagalny z prośbą o opiekę i ratunek dla nich, w razie gdyby zostali rozdzieleni z rodziną. Listy napisane były ołówkiem chemicznym, na kawałku lnu oprawionego i zabezpieczonego brezentowym materiałem

i z opaską na ramieniu, który macha rękoma. Pewne jest, że rozmawiają o czymś przerażającym. Matka chowa głowę w dłonie, potem obraca się w naszą stronę, jakby chciała do nas podbiec. Przebiega jednak, ale obok nas, przed siebie, jakbyśmy byli niewidzialni. Znika w piwnicach.

Okazuje się, że żołnierz przyszedł z naprawdę złą wiadomością. Nasz brat, wysłany przez matkę parę godzin wcześniej po babkę na Lipową, jest śmiertelnie ranny. Umiera przy zbiegu Tamki z ulicą Dobrą.

Po chwili matka wybiega z piwnicy. Mnie i Alinie zakłada na szyję coś, co wisi na solidnym sznurku i uwiera: kwadraciki jakby z resztek gumowego płaszcza przeciwdeszczowego, pięć na pięć centymetrów, obszyte naokoło grubą nicią. To wcześniej przygotowane identyfikatory z naszymi nazwiskami i spisana na kartce prośbą do wszystkich, których spotkamy na swojej drodze. Pisała, że oddaje nas pod opiekę Boga i ludzi. Zaraz biegnie dalej. Nie widzieliśmy jej przez trzy i pół miesiąca.

Zygmunt dostał szrapnelami w okolicę brzucha i nerki. Nadeszli Niemcy i jeden, dla pewności, dźgnął go jeszcze bagnetem w bok, na zawsze pozostała mu dziura po prawej stronie tułowia. Wtedy jacyś ludzie przykryli go gazetami, a gazety ktoś przycisnął cegłami. Zbiegł się tłum. Cudem znaleziony lekarz obrócił się do zgromadzonych i powiedział:

– Ten chłopiec właśnie umiera. Zawołajcie księdza.

Pewien żołnierz AK, świadek tego zdarzenia, opowiedział mi później w klasztorze:

– Twoja matka nie chciała słyszeć o księdzu. Nie dopuszczała myśli, że oto traci syna. Z pomocą gapiów załadowała twojego brata na dwukołowy wózek i Tamkę, pod górę, jak „muter kuraz”*, pojechała z nim na Wolę, do niemieckiego szpitala.

* Aluzja (w autorskim fonetycznym zapisie) do tytułowej bohaterki dramatu Bertolta Brechta *Matka Courage i jej dzieci* (*Mutter Courage und ihre Kinder*) – postać wędrowniej handlarki Anny Fierling szła za wojskiem, ciągnąc wózek z produktami, w czasie wojny trzydziestoletniej, w których to czasach osadzona jest ta sztuka o antywojennej wymowie [przyp. red.].

Matka podejmuje grę z wojną o życie swojego syna. Z jej i brata opowieści wiemy, że perfekcyjna znajomość niemieckiego pozwala jej udawać, że jest Niemką. Groźnie zaczyna być, gdy Zygmunt odzyskuje przytomność po operacji i w malignie mówi po polsku. Matka zatyka mu usta, żeby ich nie zdekonspirował.

Szpital na Woli płonie. Matka na schodach łapie za nogi jakiegoś niemieckiego oficera i krzyczy:

– Albo oboje spłonimy, albo pomożesz mi wynieść tego chłopaka!

Oficer uznaje, widąc, że ma do czynienia z kobietą niespełna rozumu i łatwiej będzie mu jej pomóc, niż się z nią szarpać. Łapie za nosze i zaczyna pędzić po schodach w tłumie uciekających. Matka chwyta drugi koniec i biegnie za nim, ale nosze wypadają jej z ręki. Zygmunt ląduje na posadzce – szwy i klamry po operacji puszczają. Jakiś Austriak pomaga załadować go na ciężarówkę. W ostatniej chwili uciekają przed ogniem.

Zatrzymują się w szpitalu dla niemieckich prostytutek. Matka rozpoczyna tam pracę jako salowa, a Zygmunt jest już na tyle przytomny, żeby nie pisać ani słowa po polsku.

Powstanie upadło. Wygnańcy z Powiśla, w tym my – babcia, Józia, Alina i ja – ruszamy długą kolumną w stronę Żyrardowa wśród ruin, kurzu i ciepła bijącego od pożarów. Oczy wbite w ziemię. Tobołki wędrujące z omdlałych rąk do rąk, które mogły jeszcze cokolwiek unieść i chciały pomóc. Przed nami dumna, siwa głowa Michaliny Kozłowskiej, znowu w czarnej pelerynie z cekinami. Józia dba, żeby nie zgubić Aliny i mnie. Przeróżająca cisza naszego pochodu przerywana z rzadka głośnymi pokrzykiwaniami Niemców i szczekaniem psów. Na końcu tej drogi hala w Żyrardowie. Babka Michalina, dostojna matrona, siada na jakimś kawałku żelastwa, Józia trzyma Alinę, czekając blisko babki na decyzję niemieckich żołnierzy, do którego wagonu towarowego trafimy, ja szwendam się po tym miejscu: ludzie ze sobą rozmawiają, ktoś dzieli się jedzeniem, ktoś mnie pyta, czy się nie zgubiłem. Kiwam głową, że nie. Mam stały punkt odniesienia – babcię siedzącą na złomie. Zataczam blisko wokół niej kręgi.

Noc spędzamy na rynku w Sochaczewie, dokąd dowieźli nas towarowymi wagonami. Zmęczony usnąłem, obudził mnie poranek. Dziwią twarze cywilów i Polaków, którzy kręcą się wokół, nachylają nad nami, patrzą, jakby coś szacowali w myślach. To miejscowi chłopci, którym pozwolono wyszukać dla siebie siłę roboczą. Widzę babkę, uczesaną już, w czarnej pelerynce. Pewnym i doniosłym głosem zapewnia pytających ją chłopów:

– Potrafię szyć, haftować, mogę uczyć dzieci w dwóch językach.

Brzmi zadziwiająco. Z jej poczuciem godności musiało ją to sporo kosztować, choć robi to z handlową swobodą i swadą. Wiedziała, jak sprzedać towar: siebie, zdolną do pracy Józię, panienczkę Alinę i mnie, dzieciaka z pierwszej klasy.

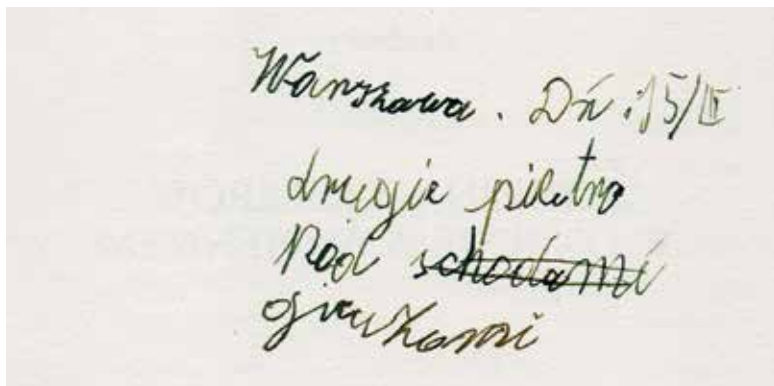
I tak oto u rolnika pod Sochaczewem zaczynam razem z siostrą paść krowy. Babcia szyje i haftuje, a Józia robi wszystko, żeby tylko przypodobać się gospodarzom. Babcia śle także listy do oddziałów Czerwonego Krzyża w poszukiwaniu rodziny Kozłowskich: Antka i Janiny Kozłowskich oraz Janusza Warneckiego, a najbardziej Marii i Zygmunta Walterów. Któregoś dnia listonosz przynosi odpowiedź. Babcia ze spokojem, ale i wzruszeniem odwraca się do nas i mówi:

– To jest pismo mojego syna Antka.

Otwiera kopertę i czyta nam na głos list od wujka. Przeżył, wynajął z rodziną dom w Kasince Małej. Napisał, jak tam trafić.

★

Niemieckie władze kontrolują wszystko przez całą dobę. Urzędnicy przychodzą bladym świtem albo głęboką nocą, by policzyć lokatorów. Wcale się nie zdziwiłem, gdy mimo to już dwa dni później jedziemy pociągiem do Kasinki – przedsiębiorczość babki była znana w całej rodzinie. Nie ma po co tkwić pod Warszawą. Nadzieja, że mama i Zygmunt przeżyli, jest niewielka. Matka z dwukołowym wózkiem, na którym leżał umierający Zygmunt, musiałyby przejść w ogniu



Tak informowały się rozdzielone wojną rodziny.
Notatka małego Mariusza

walki w poprzek Warszawy, z Powiśla na daleką Wolę. Wydawało się to niemożliwe.

Na dworcu w Kasince Wielkiej babka i jej syn, czyli mój wujek Antek, który przyjeżdża po nas na koźle furmanki, bez słów, bez zbędnych gestów obejmują się i stoją w tej pozycji kilka minut. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo wtedy interesują mnie głównie furmanka, koń, pagórkowaty krajobraz i ruszająca w dalszą drogę lokomotywa.

Janusz Warnecki tak pisał po latach: „Po dłuższej tułaczce osiedliśmy w Kasince Małej koło Mszany Dolnej. Przezorny mój brat wynajął część willi w Kasince i cała nasza rodzina dążyła ze wszystkich krańców Polski do tego stosunkowo bezpiecznego miejsca”.

Zamieszkujemy w domu przy szosie. Często siadamy z matroną Michaliną w oknie, by patrzeć na tę drogę. Jest co oglądać: przemarsz wojsk rosyjskich od Kasinki przez most na Rabę, powrót po paru godzinach w beładzie, po kanonadzie, która powoduje podskakiwanie flakoników z kwiatami na parapecie, przejazd niemieckiej kolumny od mostu w stronę Kasinki, wozy pancerne, za nimi niemieccy żołnierze. Mamy swoje kino.

Któregoś dnia nie pojawiają się ani żołnierze niemieccy, ani radzieccy. Siedząc w pełnej rodzinnej obsadzie przy oknie, zobaczyliśmy

znaną nam furmankę – tę samą, która odbierała nas z dworca w Kasince Wielkiej. Jak z jakiegoś obrazu zdolnego realisty: pusta droga, koń spieniony, a w rozpiętym, powiewającym połami płaszczu, obok miejscowego gospodarza, siedzi na koźle wujek Antek i wymachuje radośnie rękoma. Tylko woźnica powozi skupiony na tym, by nie wjechać do rowu, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Domyślamy się, że koń toczy pianę z pyska nie dlatego, że gonią go kolumny armii niemieckiej albo rosyjskiej. Musiało wydarzyć się coś niesłychanie ekscytującego.

– Jest Marysia i Zygmunt, jest Marysia i Zygmunt! – dochodzi do nas wreszcie radosny krzyk z daleka.

Wujowie w Kasince oswojali nas z myślą, że matka i Zygmunt mogli zginąć. A tu nagle ta furmanka i taka wieść!

Wujek Antek przywozi ich kilka dni później tą samą furmanką. Zygmunt, ułożony na sianie, blady jak wyprane płótno, nie do poznania. Wyciąga do mnie rękę, a ja się dziwię, że robi to tak wolno.

To, co się potem działo, jest dla mnie tajemnicą. Nie pamiętam powitania ani żadnego innego zdarzenia z tego dnia. Wcale tego nie zapomniałem. Nie zapamiętałem tego nigdy.

W domu, gdzie mieszkaliśmy, dorośli – głównie aktorzy, z których pamiętam Helenę Chaniecką i Adama Mularczyka – zorganizowali szpital dla partyzantów z rejonu Turbacza.

Gdyby niemieccy żołnierze to odkryli, skończyłoby się pewnie zbiorowym rozstrzelaniem. Pięcioro dzieci: Stefan i Ewa – dzieci Antoniego, Madzia – córka Warneckich, i nasza dwójka, a potem trójka – nie byliśmy tego świadomi i traktowaliśmy dom jako bezpieczne przytulisko. Korzystali z niego nie tylko partyzanci. Golił się u nas pułkownik rosyjskiego wojska. Dwa dni później niemiecki adiutant czyścił w tym samym miejscu oficerki swojemu kapitanowi. Bywało, że siedząc w innym pokoju z Aliną i Zygmuntem, zgadywaliśmy na podstawie odgłosów rozmów, kto dzisiaj zdobył Kasinkę.

Pewnego dnia rosyjscy oficerowie pili spokojnie wódkę w kuchni, zagryzając jakimiś suszonkami, gdy zobaczyliśmy, że nadciągają

Niemcy. Podchodzili już pod nasze okna, więc pobiegliśmy z bratem ostrzec Rosjan. Nie drgnęła im nawet powieka. Pili dalej.

– *Nie bojsia, nas mnogo* – powiedział jeden z nich.

Którejś nocy budzi nas wybuch radości. Odtąd przed lustrem gołą się już tylko Rosjanie. Skończyła się wojna, trzeba się wyprowadzać.

Wiele lat później, w nie tak dalekiej odległości od Kasinki, wybudowaliśmy dom w Kosarzyskach koło Piwnicznej, na końcu pięknej doliny. Spędzaliśmy tam wszystkie ferie i wakacje z całą moją rodziną, często z licznymi przyjaciółmi. Jadąc tam, wybierałem trasę tak, by prowadziła przez Kasinkę. Gdy przejeżdżałem przez tę wieś, próbowałem opowiadać, co tam się działo w czasie wojny. Patrzyłem w lustro samochodu, by sprawdzić, czy na tylnym siedzeniu wywołuje to zainteresowanie moich dzieci, starszego Piotra i młodszej Sandry. Nie wyglądali na zaciekawionych. Tylko Bożena odwzajemniała moje spojrzenie.



Walterowie w domu w Kosarzyskach koło Piwnicznej, niedaleko Kasinki, gdzie w czasie wojny osiedlili się wujowie Mariusza